

MICHAŁ BŁAŻEJEWSKI
Uniwersytet Gdański

Dobre obyczaje w najweselszym baraku naszego obozu

Tadeusz Czekalski, przystępując do opisania polskich obyczajów w czasach współczesnych, zwraca uwagę na liczne utrudnienia, z jakimi zetknąć się musi badacz tego aspektu nieustannie zmieniającej się na naszych oczach kultury. Z jednej strony autor wskazuje na brak bogatej literatury przedmiotu, z drugiej zaś jednocześnie – na nadprodukcję źródeł pisanych oraz na prawdziwą inwazję dokumentów o charakterze audiowizualnym, a posługiwania się nimi badacze właściwie dopiero muszą się nauczyć. Wskazuje też na zmiany znaczeniowe w obrębie pojęć typu „obyczaj”, „obyczajowość”, które w latach od wybuchu drugiej wojny światowej w naturalny lub „nienaturalny”, bo poddany manipulacji, sposób ewoluowały w naszym kraju od rozumień nacechowanych etycznie, osadzonych w dodatku w kontekście współczesności i niejako naturalności, w stronę znaczeń przeważnie opatrzonych znakiem przeciwnym.

W hierarchii dopuszczalnych zachowań społecznych coraz mniejszą rolę odgrywały te, które są identyfikowane z pojęciem „dobrego wychowania”, a także „przyzwoitości”. Termin „obyczajny”, kiedyś ściśle wiążący się z kryteriami oceny moralności człowieka, stał się pojęciem anachronicznym. Równolegle upowszechniało się pojęcie „obyczajowy”, tyleż enigmatyczne, co pozbawione charakteru wartościującego. Znacznie większą rolę odgrywał obyczaj ujmowany jako forma komunikacji społecznej czy element identyfikacji grupowej¹.

Zmieniał się więc nie tylko „język”, poprzez który obyczaj stawał się obecny w świecie, lecz także „język dyskursu”, którym posługiwaliśmy się, mówiąc o tymże obyczaju. Spróbujmy odnieść te uwagi do czasów, kiedy następujące po sobie okresy historyczne związane były z bardzo dramatycznymi przemianami politycznymi. Patrząc na nie przez pryzmat antropologicznie ujmowanego wzoru kulturowego, możemy powiedzieć, iż w niecałej dekadzie – lata 1939–1948 – wchodziły ze sobą w przeróżne relacje wzory przeciwstawne i na dodatek już wewnątrznie nie zawsze spójne. Przyjmując bardzo duże uproszczenie – regulacje zachowań, charakterystyczne dla pewnego (umownie) polskiego modelu, zostały zderzone we wrześniu 1939 roku z nastawionym antagonistycznie pod

¹ T. Czekalski, *Czasy współczesne, [w:] Obyczaje w Polsce. Od średniowiecza do czasów współczesnych*, pod red. A. Chwalby, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 339.

każdym względem modelem niemieckim (po wojnie definiowanym z czasem coraz bardziej rygorystycznie i „politycznie poprawnym” jako „nazistowskim”), a następnie – po 1944 roku – z modelem zachowań wywodzących się z nowego układu politycznego (dziś wiemy, że nie tylko „wschodniego”, komunistycznego, ale w dużo większym stopniu także wynikającego z politycznych układów ponad głowami i interesami ludności polskiej).

Obwarowane przepisami prawnymi, nakazami, rozporządzeniami i wpływającymi z nich konsekwencjami przemiany systemów wartości dały w efekcie sytuację o pozorach akceptowanej „normalności”. Jej systemy komunikacyjne, z czasem wpisane w poetykę „nowomowy”, faktycznie już od samego początku opierały się na regułach „wielomowy”², których to reguł można się było najwyraźniej bez konsekwencji etycznych wyuczyć i stosować je w sposób – przynajmniej deklaratywnie – jawnie sprzeczny nie tylko z normami sprzed 1939 roku (tzw. tradycyjny polski obyczaj, polski etos), lecz także z normami akceptowanymi po roku 1944. Zapewne i wcześniej istniały rozbieżności między – przywołajmy klasyczne podziały antropologów z kręgu konfiguracyonizmu – tym, co deklarowane (albo normatywne) a tym, co realizowane (albo behawioralne). Czy utrwalające się w wojenno-powojennej dekadzie (i – założymy trwające nadal) zachowania tego typu mogą świadczyć o pojawieniu się osobowości podatnej na to, co psychologia nazywa dyfuzją? Być może tak – pamiętajmy jednak, iż klasyczne rozszczepienie osobowości łączy się z płynnym przechodzeniem od jednej z nich do drugiej przy kompletnej zarazem nieświadomości rozbieżności między nimi i nieświadomości stanu samego osobnika (społeczeństwa?), w jakim przebywało się uprzednio. Moglibyśmy zatem rozważać istnienie „akceptowalnej normy nie-normalności” lub przyjąć, iż zjawisko takie ma raczej cechy aprobowanej przez psychologów dezintegracji pozytywnej (za Kazimierzem Dąbrowskim), świadczącej o plastyczności i samoregulacyjnym, obronnym w dodatku, autoterapeutycznym wręcz charakterze takich zachowań.

Spróbujmy poszukać śladów takiego procesu w dokumentach o charakterze ogólnodostępnych tekstów prasowych. Tygodnik „Przekrój” przez dziesięciolecia sprawiający wrażenie niezmiennie stabilnego (stałe działy, nieomal niezmienna winieta, permanentnie „inteligentki adresat”, powoływanie się na dość wyraźny model tradycji itd.) może być tutaj dobrym przykładem pisma, któremu wolno było wykraczać poza jednostronny obraz językowy ówczesnego świata, jakim posługiwały się gazety z wyraźnym stygmatem „wyrazicieli jedynej słusznej linii kierowniczej siły narodu”, a stanowiły ją jeszcze przed kongresem zjednoczeniowym w 1948 roku powiązane z ZSRR ugrupowania nazywające same siebie „lewicowymi”. Tygodnik powstał z dodatku „Ilustracja Polska” do założonego w lutym 1945 roku „Dziennika Polskiego”. W 1945 roku ukazało się trzydzieści

² O „wielomowie” lat siedemdziesiątych na przykładzie teatrów studenckich pisałem w: M. Błażejowski, *Dialog w przestrzeni kultury*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2005, s. 47 i nast.

osiem numerów redagowanych – jak informowała stopka – przez Zespół (Marian Eile wymieniony został jako naczelny dopiero od 146 numeru, na początku 1948 roku).

Pierwszy okres – umownie do setnego numeru pisma – to czas po tak ważnych zmianach w prawodawstwie, jak podpisanie 30 października 1944 r. przez Edwarda Osóbkę-Morawskiego wspólnie z Bierutem, Żymierskim i Radkiewiczem Dekretu o Ochronie Państwa, którego przepisy były tak ujęte, że prawie każdemu obywatelowi groziło pociągnięcie do odpowiedzialności sądowej i ukaranie więzieniem lub skazanie na śmierć. Dekret o Ochronie Państwa obowiązywał do końca stanu wojennego, tj. 16 grudnia 1945 r. Następnego dnia został on zastąpiony Dekretem o Przestępstwach Szczególnie Niebezpiecznych w Okresie Odbudowy Państwa, który z kolei zastąpiony został uchwalonym 13 czerwca 1946 r., a obowiązującym od 12 lipca dekretem o tej samej nazwie. Ten drugi dekret nazywany był dekretem czerwcowym, a także – z racji choćby swych pokaźnych rozmiarów – małym kodeksem karnym (w skrócie m.k.k.). Dekret przewidywał większą liczbę przestępstw niż dekret z 1945 r. i zaostbrał karę za niektóre z nich. W przeciwieństwie do krótko obowiązujących dekretów z 1944 r. i 1945 r. mały kodeks karny na długo stał się częścią obowiązującego w Polsce prawa. Obowiązywał on bowiem (wraz z kodeksem karnym z 1932 r. i innymi ustawami karnymi) aż do końca 1969 r., tj. do czasu wejścia w życie uchwalonego w tym samym roku kodeksu karnego³.

Obecność tej „zadekretowanej” rzeczywistości przejawia się w „Przekroju” na stronach relacjonujących procesy wrogów ludu czy zbrodniarzy wojennych. Tygodnik z przerysowanym wręcz zaangażowaniem włącza się w akcję przedwyborczą, publikując obok tekstów „serio” i wywiadów ze znanymi (lub nieznanymi) ludźmi, deklarującymi swoje poparcie dla Bloku Stronnictw Demokratycznych, także teksty i ilustracje humorystyczne lub wręcz satyryczne (cykl o Augustcie Bęc-Walskim, *Poradnik dla głosujących* – zgadywanka przedwyborcza, której każda poprawna odpowiedź wiąże się z „trójką”, numerem „jedynie słusznej” listy – „Przekrój” nr 93 z 19–25 stycznia itd.). W wyniku sfałszowanych wyborów 19 stycznia 1947 r. prezydentem kraju zostaje Bolesław Bierut (tytułowany tak na łamach „Przekroju” dużo wcześniej – był bowiem już prezydentem Krajowej Rady Narodowej). Na 11 milionów głosujących na Blok Demokratyczny oddać miało swój głos 9 milionów – donosił „Przekrój” nr 95 z 2–8 lutego 1947 r. W kontekście tych wydarzeń niektóre zdjęcia i podpisy pod nimi sprawiały dość dziwne wrażenie. Na okładce „Przekroju” nr 97 z 16–22 lutego zdjęcie składającego przysięgę prezydenta Bieruta opatrzone jest u dołu paskiem z nazwiskami autorów numeru – Jan Dobraczyński, Wanda Kragen, Jan Kott, Jerzy Zagórski, Jerzy Zaruba, Jarosław Iwaszkiewicz, Janusz Meissner. Na stronie

³ Za: Polska.pl – <http://wiadomosci.polska.pl/kalendarz/kalendarium/article.htm?id=109994> (strona dostępna: 9 marca 2008 r.).

drugiej umieszczono zdjęcia nowego rządu – z Józefem Cyrankiewiczem jako premierem. Wśród wielu tekstów – Teatrzyk Zielona Gęś prezentuje „Szczęście rodzinne, czyli ostrożnie z przekleństwami”. W kolejnym numerze na stronie drugiej zdjęcie z podpisem „Tak wyglądał przed podpisaniem historyczny akt przejścia władzy przez Pierwszego Prezydenta Odrodzonej Polski, Bolesława Bierutą” (akt nie ma wpisanej jeszcze daty dziennej). Obok obszerny fotoreportaż informuje o 29. rocznicy „bohaterskiej Armii Czerwonej”, na stronie 18. pojawia się „Judyta & Holofernes”, III akt opery przedstawianej przez Teatrzyk Zielona Gęś, a na stronie ostatniej – obok tekstu Stefanii Grodzieńskiej (do którego potem wrócimy) – Karol Szpalski umieszcza serię sześciu rymowanych nagrobków. Pierwszy – poświęcony cenzorowi (*Człowiek uczciwy spoczywa pod wami//Co tylko białymi splamił się plamami*), ostatni – grabarzowi (*Umarł biedaczysko. Trudna na to rada//Kto pod kim dolki kopie, ten sam w nie wpada*). Zabawne teksty Szpalskiego mimowolnie dzisiejszemu czytelnikowi przypominają fragmenty pisanego w tym samym czasie *Traktatu moralnego* Czesława Miłosza (poety drukowanego w pierwszej setce numerów „Przekroju”, o czym przypomina wykaz autorów, zawarty na 16. stronie numeru setnego z 9–15 marca 1947 r.).

Żywoć grabarza jest wesoły.
Grzebie systemy, wiary, szkoły,
Ubija nad tym ziemię gładko
Piórem, naganem czy łopatką,
Pełen nadziei, że o wiosnie
Cudny w tym miejscu kwiat wyrośnie.
A wiosny nima. Zawsze grudzień.
Nie rozpraszajmy jednak złudzeń⁴.

Obie publikacje (szczególnie ta Miłosza z 1948 roku) najwyraźniej umknęły czujnemu oku cenzora – lub zostały włączone w grę ówczesnej władzy z czytelnikiem w „nierozprasanie złudzeń”.

Pytanie o cenę zgody na efekty wyborów kazałoby się nam odwołać do dwóch koncepcji reform kraju – silnie „stalinowskiej” Bierutą i „łagodniejszej” Gomułki. Na poziomie perswazji skierowanej do świadomego obywatela funkcjonowało wskazanie na potrzebę spokoju w każdej dziedzinie życia społecznego i prywatnego. W numerze 93. z 19–25 stycznia Czesław Komarnicki w rubryce „Rozmaitości”, wtedy znajdujących się wewnątrz numeru, w krótkim tekście, zatytułowanym „19 stycznia” i opatrzonym dodatkowo nałożoną na tekst dużą

⁴ Cz. Miłosz, *Traktat moralny*, [w:] *idem, Wiersze*, t. 1., Kraków 1985, s. 238. Podane tam miejsce i czas powstania utworu – Washington D. C., 1947. Pierwodruk wiersza miał jednak miejsce w kraju, w 1948 roku w „Twórczości” (1948, nr 4, s. 5–16). Utwór został prawdopodobnie przez cenzurę przepuszczony lub potraktowany ulgowo – być może powodem był wąski krąg odbiorców „Twórczości” lub ówczesna dyplomatyczna funkcja poety. Pamiętajmy też, iż w zapowiedzi pojawienia się pisma Miłosz figurował jako członek kolegium redakcyjnego. Polemiki z Miłoszem na łamach pisma podjął się Witold Wirpsza (*Traktat polemiczny*, „Twórczość” 1949, nr 5, s. 9–15).

czerwoną trójką, pisze: „Nadejdzie dzień 19-tego stycznia i minie. Wstąpimy ostatecznie w okres pełnego uspokojenia i stabilizacji życia w kraju, a to znaczy przede wszystkim – dobrobyt. Nie ma i nie było bowiem nigdy i nigdzie dobrobytu bez podkładu spokoju”. Zdaniom tym towarzyszy dramatyczny obraz powojennego kontrastu między uczciwymi ludźmi pracy a wzbogaconymi *macherami, spekulantami, paskarzami*, także kontrastu między sytuacją z podobnych lat dwudziestych, kiedy skłócone partie i gabinety nie potrafiły wydobyć kraju ze zniszczeń po pierwszej wojnie światowej, a sytuacją obecnej gospodarki – idylliczny obraz z roczników statystycznych to miliony wydobytych ton węgla, tysiące uruchomionych zakładów przemysłowych, setki milionów wyprodukowanych tkanin i 4 miliony polskich osadników, który przybyli na opustoszałe Ziemie Zachodnie. Skąd przybyli, przez kogo ziemie te były „opustoszałe” czy raczej spustoszone – tego prawdopodobnie ówczesni czytelnicy mogli się domyślać. Finałową zachętę do głosowania na „trójkę” wspierają inne elementy tej samej strony – satyryczny rysunek „Muzyka w Niemczech”, przedstawiający grających na bombach, granatnikach czy lufach armatnich umundurowanych Niemców, rysunek świni wiozącej bombę na wózku transportowym i salutującego jej żołnierza (prawdopodobnie brytyjskiego – bo z fajką), tekst Jerzego Waldorffa, poświęcony alkoholizmowi w Polsce, „Kominek zgasł” w Teatrzyku Zielona Gęś oraz umieszczony na sąsiedniej stronie fragment powieści Wiecha „Café pod Minogą”, z ilustracją przedstawiającą tępego, ale uzbrojonego Niemca, do którego zwraca się Maniś Kitajec eleganckim słowem: „Szybę że trzeba wstawić, chamie na jeża strzyżony...”. W tym samym numerze przywrócenia spokoju w sejmie domagał się także Antoni Uniechowski swoją graficzną interpretacją tematu „Jak dawniej w Polsce posłów na sejm wybierano” i – na sąsiedniej, jedenastej stronie – sam John Milton (spolszczony przez Karakuliambro – Gałczyńskiego) we fragmencie XIX pieśni „Raju utraconego”. Zawarty w finale *pisk* [...]: *WYBORY! WYBORY!//OSTATNI SĄD NAD RAJEM UTRACONYM* zachęcać miał do wejścia w nową rzeczywistość, gdzie „nie defilada//jest nowa Polska, ale szara praca, [...] i gdzie płonęły ongiś kandelabry, //tam wszędzie błysną lampy pracowite// i w miastach będą kwitły wiejskie chabry, //a w wioskach będą grać kina nabite; //i będzie cały kraj jakby ląd nowy: //piastowski, norwiderski i ludowy”.

W tekście Gałczyńskiego z jednej strony odbija się, spokrewniona z ideami *proletkultu* także w jakimś stopniu, inteligencka mitologia ludu *wchodzącego do śródmieścia* – ale godnie i łagodnie, aby w sposób nieskażony błędami minionych ustrojów (niewinne *wiejskie chabry*!) korzystać z dobrodziejstw kultury. Z drugiej zaś – poeta odnotowuje realny fakt wejścia ludzi ze wsi do zupełnie dla nich nowych obszarów obyczaju „miastowego”, gdzie będą musieli umieć się zachować i jednocześnie współżyć w sposób bezkolizyjny (i niewłączający żadnej ze stron) z ludźmi „miastowymi”. Również „miastowi” wyruszali na wieś, nie w charakterze letników, ale w charakterze robotników o nowej mentalności,

nauczycieli czy urzędników lub artystów – w charakterze *inżynierów dusz* i zarazem uczniów prostego ludu (*i stąd największym prosty lud poetą* – jak pisał dziadek Marii Mickiewiczówny, przesyłającej „Przekrojowi” list gorąco popierający kandydatów Bloku Demokratycznego). Taką wspólną sferą staje się instytucja kultury – wspomniane przez Gałczyńskiego chociażby grające w *wioskach kina nabite*. W ówczesnej Warszawie – co odnotowuje „Przekrój” – było... dziesięć teatrów i sześć kin (oraz tylko cztery apteki sprzedające leki refundowane przez ubezpieczalnię).

Problem właściwego *zachowania się* pojawia się w listach od redakcji niemal od początku. Najprostszą odpowiedzią byłoby – zachowuj się tak, abyś nie podpadł pod wspomniany mały kodeks karny. Nie zawsze znamy treść listu, nie zawsze wiemy też, na ile autentyczny tekst prezentuje rubryka z gołąbkim pocztowym „Do i od Redakcji”. W numerze 97. (z Bierutem składającym przysięgę na okładce) czytamy m.in.: „**Przystojna Czytelniczka z Warszawy**. Gałczyński jest nie tylko przystojny, lecz i żonaty; „**Mamusia**” w **Łodzi**. Pomyliła się Pani. „Przekrój” nie jest poradnią ginekologiczną. **Edwin E. w Poznaniu**. Współczujemy panu. – i dalej – „**Mańka i Lena**”. Dziękujemy za miły list i nawzajem bardzo serdecznie Was pozdrawiamy. Radzimy nie grać za wiele w siatkówkę, zwłaszcza, jeżeli się wam potem ręce trzęsą”. Żartobliwa forma odpowiedzi nie przeszkadza w pokazywaniu poprawnej formy wypowiedzi i pisowni. Na sąsiedniej stronie kolejny „List z fiołkiem” ekspediuje do tygodnia „Przekrój” Gałczyński, zwracając się do *Szanownego Pana Redaktora w sprawie... erotomanów*. Nieco surrealistyczny tekst (*kurs przeciwerotomaniacki zestawiony z pełnym zapalem bojem poetki Anusi Świrszczyńskiej z alkoholizmem*) kończy się słusznie zaangażowanym wezwaniem, powtórzonym za *Poetą* – *Skończcie z erotomanią, panowie, // my mamy co innego na głowie!*

Pierwszy odcinek „Demokratycznego Savoir Vivre’u w odcinkach”, opracowanego przez Jana Kamyczka, pojawia się w jubileuszowym, setnym numerze z 9–15 marca 1947 roku. Na tej samej stronie – recenzja z premiery Tuwimowskiej przeróbki „Żołnierza Królowej Madagaskaru” Dobrzyńskiego, z Mirą Zimińską-Sygietyńską, Ludwikiem Sempolińskim i z przypominaną piosenką Bartelsa – *Mówili: nie ma Warszawy // A tu jest Warszawa*. Czego (w takim zestawieniu) mogły dotyczyć porady Kamyczka – „w cywilu” – Janiny Ipohorskiej, grafika, felietonistki i scenarzystki (między innymi), która w ten sposób inaugurowała działalność jednej z autentycznych „instytucji narodowych” – DSV?

Tekst poprzedza bodaj jedna z najkrótszych zapowiedzi, jakie można sobie wyobrazić w zestawieniu z tak szacowną i szanowaną przez dekady rubryką:

W związku z licznymi zapytaniami naszych czytelników na temat obowiązujących obecnie przepisów dobrego tonu otwieramy nową rubrykę, w której chcemy dawać praktyczne wskazówki w tej dziedzinie z uwzględnieniem wszelkich zmian, jakim uległ przedwojenny bon-ton wobec obecnej rzeczywistości. Będziemy tu również odpowiadać na szczególne wątpliwości naszych korespondentów, przesyłane nam w listach z nagłówkiem „Demokratyczny Savoir Vivre”.

Tytuł pierwszego odcinka mówi „o jedzeniu, piciu i zachowaniu się przy stole, a także o rozmowach w tej okoliczności stosownych”. Tuż po tytule mamy *Wstęp, czyli zasady ogólne*. Czytamy w nim:

Ze wszystkich funkcji fizjologicznych jedynie tylko jedzenie jest czynnością towarzyską i to jest zasada, która bez względu na wszelkie polityczno-społeczne przemiany tego świata nie pozwala nam a) uprawiać innych funkcji fizjologicznych w salonie, b) uprawiać życia towarzyskiego bez jedzenia.

Kamyczek – powołując się na wydawnictwa poradnikowe z 1817 i 1897 r. (a więc ta deklarowana we wstępie „przedwojenność” odnosiła się do czasów sprzed... pierwszej wojny światowej) – przypomina „odwieczne prawa”, wobec których „wszelkie tendencje rewolucyjne w tej dziedzinie (bankiety – na indeksie, przyjmowanie gości suchą herbata) nie mają szans powodzenia”. Szczegółowe już przepisy bon tonu dotyczą spożywania zupy czy sosu (wycieranie talerza chlebem wybaczone w tym czasie pewnemu młodzieńcowi jedynie „ze względu na zasługi bojowe w czasie okupacji, ale trzeba przyznać, że chleba nie trzymał w palcach tylko na widelcu”). Palcami wolno było spożywać – jak za dawnych czasów, co podaje Kamyczek za *Przepisami dobrego tonu* (Warszawa 1897):

karczochy, raki, ostrygi, suche pierożki lub wafle do lodu, oraz, w niektórych kołach towarzyskich, szparagi”. Ponieważ obecnie potrawy te przeważnie wyszły z mody, należy ograniczyć użycie palców do potraw tak twardych, że przekrojenie ich widelcem łupie talerz na kilka części [...] Śledź to wyjątek, który możemy krajać nożem. Jedzenie wszystkich innych ryb wyłącznie widelcem lub narzędziami specjalnymi to zasada, którą dżentelmen wysysa już z łona matki, a która obowiązuje nawet w kołach najbardziej skrajnych pod względem politycznym [...] Nie wolno ponadto krajać nożem klusek, ziemniaków, winogron, kremu waniliowego, a także kotletów siekanych. Identycznie traktuje się kotlety z ryby, podawane w dni bezmięsne, gdyż ryby te chodziły za życia przeważnie na czterech nogach.

Dowcip Kamyczka już w tym pierwszym odcinku balansuje pomiędzy Tuwimem, Słonimskim („W oparach absurdu” ze słynnym *Co podać do stołu, gdy przyjdą goście, a w domu nic nie ma*), Gałczyńskim a napuszoną nowomową raczkującego „widma komunizmu”. Możemy się domyślać, jak absurdalne było zestawienie tych porad z zaokieną rzeczywistością. Dla dzisiejszego czytelnika teksty Kamyczka czy tandemu Słonimski–Tuwim są równie dobre co *Monty Python*⁵. Atrakcyjność formuły „starociowych” poradników dobrego zachowania wykorzystał w „Przekroju” także Kornel Makuszyński. W wielkanocnym numerze podwójnym (103–104 – cena 50 złotych) opublikował tekst „Gość i jego zwyczaje” (s. 7). W tym samym numerze swoje „pisanki” prezentuje Prezydent Truman i Generał Franco (satyra polityczna, a nie przepisy na zdobienie takowych), a w Moskwie trwa zjazd ministrów czterech mocarstw prowadzących obrady, „od których wyników będzie zależało, czy świat i w przyszłości będzie mógł spokojnie zaopatrywać się na Wielkanoc w wiktuały” (s. 8–9). Na stronach

⁵ <http://biblionetka.pl/ks.asp?id=28271> (dostępne: 5 kwietnia 2008).

13–15 Mieczysław Wejman, bodaj po raz pierwszy w tak masowym piśmie krajowym, przedstawia sylwetkę i dzieła Pabla Picassa, a na stronie 12. wśród ogłoszeń drobnych odnajdujemy i takie: *Znane z przedwojennej jakości TACZKI ŻELAZNE firmy Antoni Dymnicki produkuje Państw. Stacja Traktorów i M. R. w Jarosławiu*, i takie: *Kto posiada jakiegokolwiek wiadomości o Prof. Janie Lenkiewicz z Lwowa, ewakuowanym na teren ZSRR w r. 1941 – proszony jest o wiadomość pod „Ważne” do Redakcji „Przekroju”*.

Żartobliwe i opierające się na przedwojennych tekstach porady DSV z czasem poważnieją i wzbogacają się o coraz bardziej konkretne wskazówki, będące odpowiedzią na liczne listy czytelników. W numerze 106. z 20–26 kwietnia 1947 r. pojawia się już bardziej serio tekst dotyczący spożywania napojów wysokowych z dodatkiem na temat sytuacji, „w których zdarzy się człowiekowi przekroczyć tzw. „miarę” w spożyciu trunków” (s. 16). Kolejne odcinki poświęcone są paleniu tytoniu (przy czym chodzi tutaj o to, jak palić „elegancko” – podawanie ognia, zapalanie papierosa, popielniczki itp., a nie o kwestię szkodliwości nikotyny). Omawiana jest w kolejnych odcinkach bardzo szeroko kwestia ukłonów, podawania ręki (samemu problemowi całowania ręki poświęcone są odcinki od XIV do XVI!), przedstawiania się i tak dalej, i tak dalej. Z kolei *O ruchach, odruchach i im podobnych gestach* traktują odcinki od XVI do XX.

Zapotrzebowanie na tego typu porady wydaje się podyktowane wieloma czynnikami. Bez wątpienia ton serio został wymuszony przez ludzi, którym nowa sytuacja (awans społeczny, demokratyzacja, wymieszanie ludzi, pochodzących z tzw. różnych sfer) nakazywała „umieć się znaleźć” w kontaktach z innymi ludźmi, często przełożonymi lub urzędnikami, od których mogło zależeć nie tylko załatwienie jakiejś sprawy. Chodziło także o podtrzymanie ciągłości pewnej tradycji towarzyskiej ogłady – chociaż zawsze istniała obawa, że tzw. przedwojenne maniery mogły jednoznacznie wskazywać na „wroga ludu” i dawać efekt przeciwny od zamierzonego. „Przekrój” bronił się tutaj choćby tylko nadaniem swojemu poradnikowi tytułu „Demokratyczny”, bronił się także braniem w nawias samej sytuacji „poradnikowej” – odwoływano się do poradników z dziewiętnastego wieku (a więc nie do tradycji „sanacyjnej”), wprowadzano ironiczny dystans do opisywanej sytuacji z przykładowymi karczochami, podśmiewano się z przerysowania niektórych zaleceń. To „wsparcie” przychodziło też i z innych artykułów – sama Ipohorska w swoich rysunkach „obśmiewała” przesadną elegancję, podkreślając jej absurdalność i jawną anachroniczność. Z przedwojennej elity wyśmiewała się rubryka z Augustem Bęc-Walskim, opatrzona winietką z hrabiowską (?) koroną. Ponadto jeszcze było można odwoływać się do amerykańskiej mody (serio), amerykańskiego teatru, filmu czy literatury – jeśli znajdujące się w nich treści korespondowały z aprobowanym porządkiem w kraju. Jeszcze nie było żelaznej kurtyny, jeszcze nie było zimnej wojny, jeszcze nie było kierowniczej siły narodu – a przynajmniej można było udawać, że nie dostrzega się zapowiedzi tych zjawisk. Jeszcze było „po wojnie”, odreagowywano jej czas

nie tylko entuzjazmem odbudowy – lecz także chęcią powrotu do normalności (poza „przedwojenną” innej powszechnie jeszcze nie znano). Wielomowa tekstów „Przekroju” była więc ceną za namiastkę „świętego spokoju” i czytelnik tego pisma przechodził (mniej lub bardziej spokojnie czy świadomie) ponad wydarzeniami ze stron politycznych, aby odetchnąć na stronach typu „Rozmaitości”. „Przekrój” do dzisiaj postrzegany jest jako swoista enklawa spokoju – nie tylko w powojennych pierwszych latach – gdzie i piszący, i czytający mogli sobie „pozwoić na więcej”.

Teoretycznie tzw. dobre wychowanie powinno być znane większości ówczesnego społeczeństwa – choćby tylko z obserwacji zachowania innych ludzi. „Powojenne” osiemnastolatki miały we wrześniu 1939 roku po kilkanaście lat, matki dzieci urodzonych tuż po wojnie mogły być niewiele starsze, ich dziadkowie, właściwie wszyscy dorośli członkowie rodzin wychowali się według „starych reguł” – stąd większości nie powinny być obce zasady, „które dżentelmen wysysa z łona matki”, jak pisał Kamyczek w pierwszym odcinku DSV. Jeżeli korespondenci tej rubryki pochodzili z przysłowiowych „nizin społecznych” i domagali się pilnie towarzyskiej edukacji, pozwalającej im na bezbolesne skorzystanie z szansy awansu społecznego – to kontekst, w jakim DSV funkcjonował wtedy, stanowił tło bardziej skomplikowane, niżli się mogło wydawać redaktorom publikowanego w czasach stalinowskich „Kalendarza Robotniczego” czy... serii wydanych nie tak dawno „Dekad” przez „Gazetę Wyborczą” (w ramach „akcji formacyjnej” najnowszej inteligencji).

Opatrywane poradami Kamyczka spożywanie posiłków, kontakt człowiek–człowiek to sytuacje jednak o mniejszej „skali społecznej”. Okres powojenny charakteryzował się wręcz totalnym upublicznieniem prywatności człowieka. W każdej sytuacji było się pod jawną (lub tajną) obserwacją innych obywateli. Ponadto „przybyło” miejsc publicznych i „przybyło” ludzi, którzy do tych miejsc publicznych uzyskali dostęp. Demokratyzacji mogło towarzyszyć lekceważenie pewnych form zachowań – w przypadku cywilnych „kontraktów małżeńskich” pojawiała się tak duża swoboda w doborze ubioru, że niekiedy urzędnicy USC musieli żądać, aby przybyła w waciakach czy gumiakach para przebrała się w bardziej stosowny strój⁶.

W Kamyczkowym DSV rozdział *Bądźmy na miejscu w publicznym miejscu* ciągnie się przez kilkanaście odcinków. Temat ten – podobnie jak wiele innych – powraca potem na łamy DSV bardzo często, głównie z powodu pytań czytelników, a także – dających się zauważyć w następnych latach wyraźniejszych „przełomów” obyczajowości.

Wprowadzenie do zagadnienia – z niewielkim przymrużeniem oka – wykląda Kamyczek następująco (w numerze 119. „Przekroju” z 20–26 lipca 1947 r., s. 12):

⁶ Por. T. Czekalski, *op. cit.*, s. 358–359.

Miejsca zaś tzw. „publiczne” obejmują jak wiadomo: 1) ulice, 2) biura, 3) sklepy, 4) plażę, 5) parki i ogrody, 6) muzea, 7) teatry itp. lokale widowiskowe, 8) restauracje, 9) cmentarze, 10) dancingi, 11) kolej i inne środki lokomocji, 12) hotele i inne pensjonaty.

ZASADY OGÓLNE

Istotą miejsc publicznych jest to, że może ich używać każdy poszczególny człowiek bez względu na płeć i charakter – pod warunkiem, że za to zapłaci. Tak np.: kto zakupi bilet na Poranek Mickiewiczowski – ma święte prawo przespać się w swoim fotelu w czasie wszystkich recytacji, kto zaś płaci podatki – ma prawo przechadzać się z narzeczoną po skwerku miejskim aż do późnej starości. Z tego wynika, że do miejsca publicznego mają równe prawa wszyscy z niego korzystający. Co za tym idzie, w miejscu publicznym nie należy niczym wyróżniać się z tłumu, gdyż to bardzo przeszkadza sąsiadom w radowaniu się życiem. Pod słowem „wyróżniać się” rozumiemy: a) głośną rozmowę, b) ekscentryczne ubranie, lub, co gorsza, rozebranie, c) silne perfumy, d) rażące zachowanie, e) olśniewającą urodę małżonki. Osoby, które nie mogą wyzbyć się tych cech charakteru, niech je pielęgnują w zaciszu domowym: do miejsc publicznych mają wstęp wzbroniony!

Odcinek XXXII DSV („Przekrój” nr 133 z 26 października–1 listopada 1947 r., s. 8) przeznaczył Kamyczek na omówienie zachowania w *teatrze itp. lokalach widowiskowych*. I znowu mamy do czynienia z omówieniem typowych dla tych miejsc sytuacji pół żartem i pół serio. Z jednej strony więc – DSV uczy, bawiąc, z drugiej – bawiąc, uczy. A jednocześnie dość skutecznie ośmiesza sytuację naganne.

Kamyczek-Ipohorska dzieli tekst na cztery części. W pierwszej wychodzi od popularnego powiedzenia, któremu nadaje uaktualnioną i poprawną politycznie formę.

„Punktualność jest grzecznością prezydentów” – mówi zdemokratyzowane przysłowie, które w I-szym rzędzie dotyczy **melomanów**, uczęszczających do **teatrów, kin, na koncerty** oraz **poranki** i **akademie** patriotyczne. Człowiek przychodzący na przedstawienie w chwili kiedy Hamlet **kończy już** rozmowę z Duchem nieboszczyka ojca – **nie jest** gentlemanem. Bo 1) deranżuje Duca, 2) **fatalnie** przeszkadza publiczności w podsłuchiowaniu familijnych tajemnic panującej rodziny, 3) popełnia **przykrą gaffę** wobec Szekspira, który bądź co bądź jest człowiekiem **starszym** a ponadto **cudzoziemcem**. Tę samą zresztą gaffę w stosunku do Szekspira popełnia człowiek, który opuszcza salę **zanim** Otello zdąży opuścić małżonkę – po to aby pognać do szatni i **bez ogonka** odebrać **palto**. Otóż dla gentlemana **ważniejsze** będzie w tym wypadku, aby niedobre małżeństwo znalazło jeszcze w jego obecności właściwe **rozwiązanie**, niż nędzne palto kartkowe z **falszywą** wydrą na kołnierzu. Podkreślamy, że wychodzenie do szatni przed końcem przedstawienia jest dowodem absolutnego braku kultury i zupełnego „niewychowania”⁷.

Kpiarsko-mentorski ton pojawia się i w drugiej części, która dotyczy prowadzonych w antrakcie rozmów. Oto fragment:

W rozmowie z nieznanymi bliżej widzami należy **powstrzymywać się** od uwag w rodzaju „Pimpsztycki gra dzisiaj jak noga” lub też „Dziubdzińska rusza się jak krowa” – gdyż łatwo może okazać się, że rozmówca jest mężem Dziubdzińskiej albo żoną Pimpsztyckiego. Chwalenie zaś

⁷ Pisownia i podkreślenia zgodne z oryginałem.

aktorów i sztuki jest prawie **równie niebezpieczne**, gdyż można mimowoli **ciężko** zranić serce konkurencji. Tylko człowiek milczący jak grób nigdy nie popełni gaffy, to jasne.

Część trzecia, dotycząca zajmowania miejsc na widowni po przerwie, jest bardziej powściągliwa, jeśli chodzi o humor.

Po dzwonku należy natychmiast zająć swoje miejsce na widowni, aby nie wchodzić po zgłoszeniu światła. Jeśli trzeba przepychać się przed kolanami siedzących, należy robić to **przodem** do nich. Nie jest konieczne, aby siedzący wstawali dla przepuszczenia sąsiada. Wystarczy jeśli możliwie **skurczą swoje odnóża** (chyba że rzędy są fenomenalnie ciasne – wtedy należy wstać).

A oto zalecenia na temat zachowania się na widowni po zgłoszeniu światła. Mówimy

najcichszym szeptem, trzymanie się za ręce uchodzi w kinie [...] lecz nigdy w teatrze. Także pozycja „główka do główki” jest **niedopuszczalna**, gdyż nie pozostawia sąsiadowi siedzącemu z tyłu pożądanej szpary do obserwowania spektaklu. Również **niedopuszczalne są** damskie kapelusze z wysoką główką lub sterzącym w górę bażancim ogonem (oczywiście w kinie, bo w teatrze damę obowiązuje bezwzględnie goła głowa). Posilanie się w czasie przedstawienia **jest dozwolone w kinie** (w teatrze musi wystarczyć uczta duchowa) pod warunkiem, że nie będzie to bułka ze śledziem ani zimny kotlet, lecz potrawy bardziej **eteryczne**, jak cukierki, czekolada, landrynki itp. **Nie należy** przy tym: 1) ciamkać, 2) szeleścić opakowaniem, 3) rzucać papierków na podłogę.

W książkowej wersji DSV, publikowanej wielokrotnie pod tytułem „Grzeczność na co dzień” (tytuł DSV zachowany został tylko dla rubryki w „Przekroju”) w dużych (jak na PRL) nakładach, kpiarski ton zanika niemal zupełnie. Tę odmienną sytuację podkreśla także umieszczony na okładce książki fragment recenzji Mikołaja Kozakiewicza, startującego wtedy do wielkiej kariery socjologa (także polityka). Dr Mikołaj Kozakiewicz (stopień naukowy przy nazwisku ma stabilizować rangę obu postaci – recenzowanej i recenzującej) pisze:

Jan Kamyczek jest klasykiem w dziele *savoir-vivre*’u. Jego książka napisana jest ze znawstwem i dobrym odczuciem współczesnego odbiorcy. W siedemdziesięciu pięciu procentach zakres rad i spraw objętych normowaniem towarzyskim pokrywa się z tym, co w odczuciu współczesnego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, takiego normowania wymaga. Dlaczego tylko w siedemdziesięciu pięciu procentach? Bo w dwudziestu pięciu procentach Jan Kamyczek wykracza poza ten zakres praw, podaje więcej szczegółowych norm, zajmuje się sytuacjami, które w praktyce współczesnego życia układają się prościej, bezregulowo. Czyli Kamyczek jest rygorystą towarzyskim w większym stopniu, niż tego pragnie współczesny młody człowiek, choć równocześnie Kamyczek jest też znacznie liberalniejszy od dawnych klasyków bon tonu. Sądzę, że to jest zaleta książki, ponieważ wychowawca (a Kamyczek jest wychowawcą) winien ustawiać poprzeczkę zawsze trochę wyżej niż aktualne możliwości wychowanka⁸.

Kozakiewicz wypowiada się o książce, jej autorze i treści językiem socjologa. Typowego socjologa – może nawet socjologa stereotypowego. Stereotypowa socjologia to procenty, które uwiarygodniają głoszone sądy – prawdopodobnie rozkład siedemdziesiąt pięć i dwadzieścia pięć procent nie ma żadnego pokrycia

⁸ M. Kozakiewicz, [fragment recenzji], [w:] J. Kamyczek, *Grzeczność na co dzień*, wyd. 2, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1972, okładka.

w rzeczywistości – ale socjolog powinien być konkretny. Nobilitacja, uczyniona przez naukowca, zobowiązuje autora (i odwrotnie) do zmiany stylu. Na pierwszej stronie książki Kamyczek pisze:

GRZECZNOŚĆ JEST ZBIOREM FORM ZACHOWANIA SIĘ, WYRAŻAJĄCYCH ZGODĘ NA ŻYCIE W SPOŁECZNOŚCI.

Są to formy umowne, podobnie jak formy innych dziedzin kulturowych.

Formy grzecznościowe są różne w różnych społecznościach.

Gdy upodobniają się do siebie pod względem cywilizacyjnym kraje albo grupy ludności w obrębie kraju, następuje również upodobnienie się form grzeczności.

Jedne formy grzecznościowe mają cel praktyczny, inne są symboliczne.

Każda z form dziś symbolicznych miała kiedyś realny sens, czy to bezpośrednio życiowy, czy wynikający z wierzeń.

Gdy istniejąca forma grzecznościowa zaczyna klócić się z życiem, które wyprzedza przepisy, zostaje zastąpiona przez nową formę.

W praktyce są często równoległe w użyciu dwie formy grzeczności na daną okoliczność – dawna i nowa.

Problemy poruszone w tej książce zaczerpnąłem z korespondencji nadsyłanej przez czytelników mojej rubryki w tygodniku „Przekrój”⁹.

Przyjrzyjmy się teraz, jak zmienia się językowy kształt porad udzielanych wybierającym się na spektakl. Będziemy mogli zauważyć także, jak zmienia się sposób zachowania w tych samych sytuacjach w ciągu kilku (kilkunastu?) lat.

W wersji książkowej porad Kamyczka znika kabaretowy dowcip. Nie ma więc Pipsztyckiego, który *gra dzisiaj jak noga*, nie ma Dziubdzińskiej, która *rusza się jak krowa*. Kamyczek zaleca, aby unikać tego typu „personalnych” wypowiedzi w sytuacji tzw. miejsc widowiskowych.

Żadnych głośnych ani półgłośnych uwag w trakcie przedstawienia czynić nie należy. Wiedom szalenie to przeszkadza. Denerwuje również aktorów, bo albo słyszą te uwagi, albo wyczuwają szóstym zmysłem ich treść. Żadnych więc: „oj zestarzała się” (o aktorce), żadnych: „nudziarstwo!”. Wszelkie uwagi można robić wyłącznie na przerwie w foyer w grupie znajomych, ale i to nie podniesionym głosem, bo to wygląda pretensjonalnie¹⁰.

Podobna powściągliwość zalecana jest na wystawach, nawet gdy przychodzimy na nie kilka dni po wernisażu, gdyż przypadkowo może to usłyszeć artysta¹¹. Znikają z tekstu zabawne nazwiska – pojawia się neutralny Igrekowski – gdy autor poradnika radzi nam, jakim tekstem opatrzyć przesyłane artystom kwiaty – *Z wyrazami szczerej sympatii – Iks Igrekowski*¹² lub gdy przestrzega nas przed

⁹ *Ibidem*, s. 5.

¹⁰ *Ibidem*, s. 73–74.

¹¹ *Ibidem*, s. 77.

¹² *Ibidem*, s. 76.

używaniem w pochwałach porównań w sytuacji, gdy przywołane nazwisko może być dla twórcy niezbyt miłe – *jesteś tak dobry jak Iksiński*¹³.

Pozostaje obyczaj wchodzenia na swoje miejsce przodem do tych, którzy już siedzą, przy czym uzasadnienie ma tutaj wręcz kształt „naukowego dowodu”: „Logiczniej jest, ze względu na budowę ciała, wchodzić do rzędu tyłem do siedzących, bo zgrabniej omijamy ich kolana – ale grzeczniej jest wchodzić przodem do nich i taki sposób polecam. Grzeczność nie zawsze idzie w parze z wygodą”¹⁴. Kamyczek nie wspomina tutaj o obowiązku wstawania tych, którzy miejsca zajęli wcześniej, a fragment o *skurczeniu swoich odnóży* (obecny w poradzie „Przekrojowej”) pomija. Irena Gumowska, w konkurencyjnym poradniku książkowym, o podobnej sytuacji wypowiada się następująco: „Przeciskanie się między rzędami krzeseł jest nieprzyjemne dla wszystkich, ale konieczne. Przechodzi się przodem do siedzących, a raczej stojących, bo uprzejmi widzowie powinni wstać”¹⁵.

Dowcip w książce Kamyczka z tekstu przenosi się do satyrycznych rysunków Jerzego Flisaka, które pojawiają się przy tytułach poszczególnych rozdziałów. Ilustracje Danuty Staszewskiej w książce Ireny Gumowskiej są pod tym względem bardziej powściągliwe, a towarzyszące tekstom zdjęcia przypominają wręcz wizualne instrukcje z książek kucharskich typu: jak nakryć do stołu, jak nakładać makijaż, jak elegancko przechadzać się po ulicach itd.

Także w książce Kamyczek przypomina, iż w czasie spektaklu czy koncertu nie należy się objadać.

Dawniej był zwyczaj ofiarowywania przez mężczyznę towarzyszącej mu kobiecie bombonierki, jeśli mieli miejsca w łóży, ewentualnie można i dziś, idąc do łóży, zastosować taką staroświecką szarmanterię. W każdym razie nie ma teraz zwyczaju zabierania ze sobą czegokolwiek do jedzenia na salę teatralną. Żadnych torebek z cukierkami, andrutami – nic! Tylko w czasie przerwy można nabyć w bufecie jakieś słodczyce i tam na miejscu skonsumować. Co innego na stadionie sportowym i w kinie¹⁶.

W kinie można jeść obwarzanki, cukierki, byle nie chrupać głośno, nie szeleścić papierkami i nie rzucać papierków pod krzesło... choć nie bardzo wiadomo, co innego można z papierkami zrobić. Pozostaje chować je do kieszeni. Analogiczny problem jest na stadionie sportowym, z tym że tam ani chrupanie, ani szeleszczenie papierkami nikomu nie przeszkadza. Śmieć jednak również nie należy¹⁷.

Książkowa wersja porad odnoszących się do zachowania w teatrze, na sali koncertowej, w kinie, w muzeum czy na stadionie sportowym jest bardziej obszerna od tej, jaką znamy z „Przekroju”. Kamyczek zachowuje tylko niektóre wcześniejsze porady czy wręcz sformułowania – także te o siedzeniu „główka

¹³ *Ibidem*, s. 77.

¹⁴ *Ibidem*, s. 71.

¹⁵ I. Gumowska, *ABC dobrego wychowania*, wyd. VI, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969, s. 175.

¹⁶ J. Kamyczek, *op. cit.*, s. 73.

¹⁷ *Ibidem*, s. 75.

w główkę¹⁸ czy uwagi na temat noszenia przez panie kapeluszy podczas imprezy¹⁹ (humor akurat tej sytuacji został przeniesiony do rysunku Flisaka). Obszernej za to wypowiada się na temat okłasków, składania artystom podziękowań, gratulacji, kwiatów, oddawania okryć do szatni, płacenia w szatni itd. Jest to dowód na wyraźny wzrost społecznego zapotrzebowania na solidne i serio sformułowane rady – „*bądźmy poważni na serio* zwłaszcza w czasach *naszej małej stabilizacji*”²⁰. Przymrużenie oka mogło uchodzić w tygodniku – książka powinna być serio, a umieszczenie jej na przykład w takiej satyrycznej serii Biblioteki Stańczyka (gdzie opublikowano m.in. satyryczne rysunki Mroźka) nie licowało by z poważnym traktowaniem (przez samych siebie) czytelników „Przekroju”. Wydawana nieco później przez krakowskie (znowu!) Wydawnictwo Literackie seria *Vademecum* Jerzego Wittlina, zilustrowana przez kolejnego etatowego prześmiewcę PRL-u Szymona Kobylińskiego (m.in.: *Vademecum grafomana* (1965; nr 1), *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego* (1967), *Vademecum szefa* (1968), *Vademecum petenta* (1970), *Vademecum dla nerwowych* (1970), *Vademecum podróżującego* (1971, wyd. Książka i Wiedza), *Vademecum dla tych, którzy pierwszy raz...* (po 1971), *Vademecum dla pań młodszych i starszych* (1973), *Vademecum dla snobki i snoba* (1975; nr 13), *Vademecum dla tych, którym się spieszy* (1976), *Vademecum dla lubiących coś doradzić* (1978; nr 16), *Vademecum dla występujących z okazji* (1980)) mówiła o wielu sprawach serio językiem niepoważnym i być może tylko z tego powodu była akceptowana – ale akceptowana jako seria tekstów „niepoważnych”. „Na poważnie” kojarzyłaby się na przykład ze znanym, a już wtedy spychanym w niepamięć zwyczajem wielokrotnego pisanie swego życiorysu na potrzeby administracji czasów stalinowskich czy podważałaby powagę też literaturoznawstwa²¹.

¹⁸ *Ibidem*, s. 72.

¹⁹ *Ibidem*, s. 71.

²⁰ *Bądźmy poważni na serio* to polska wersja nieprzetłumaczalnej gry słów zawartych w tytule sztuki Oscara Wilde’a – *The Importance of Being Earnest* (inne wersje spolszczenia tytułu – *Brat marnotrawny* oraz *Birbant*). Dramat Tadeusza Różewicza *Świadkowie, albo Nasza mała stabilizacja* zaczyna swój sceniczny żywot w 1964 roku. Obie sztuki ukazują podobne stany mentalne społeczności zadowolonych z siebie. W okresie powojennym trafiły na sceny polskie i na półki księgarskie w tej samej dekadzie co poradniki Gumowskiej, Kamyczka czy poruszające umysły ówczesnych nastolatków publikacje w rodzaju *Co chce wiedzieć każdy chłopiec* Janusza Łopuskiego.

²¹ Sceny z *Zezowatego szczęścia* (1960) Jerzego Stefana Stawińskiego i Andrzeja Munka ukazujące perfidię i uciążliwość systemu biurokracji niekoniecznie bezpośrednio po II wojnie światowej (np. personalny Józef Kacperski w interpretacji Wojciecha Siemiona) doskonale współgrają z *Vademecum petenta* czy *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego* Jerzego Wittlina (por. porady na temat przygotowania różnych wersji tego samego życiorysu dla celów urzędowych – J. Wittlin, *Vademecum życia rodzinnego i towarzyskiego*, Kraków 1967, s. 219–221). W *Vademecum grafomana* ten sam autor dworuje sobie z poważnej, akademickiej teorii literatury i łagodnie podśmiewa się z zaleceń programowych socrealizmu (rozdziały *Jak napisać powieść*, *Jak tworzyć bohaterów powieści* i inne).

W roku pojawienia się pierwszego docinka DSV interesujący nas twórcy „Przekroju” mieli akurat tyle lat, że można im było prześmiewczość wybaczyć, a zarazem – domagać się od nich odpowiedniej „świadomości dziejowej”. Ipohorska miała 33 lata, Eile – 37, Gałczyński – 42. W momencie wybuchu wojny mieli lat odpowiednio mniej – być może w ten sposób i oni, i ich rówieśni czytelnicy starali się odreagować ówczesną sytuację, w jakiej znalazł się kraj.

Teksty „przekrojowego” Kamyczka dzieliły poczucie humoru z innymi autorami tygodnika. Odcinek DSV, poświęcony zachowaniu się w teatrze, bliższy niż swej wersji książkowej jest umieszczonemu w numerze 98. (z 23 lutego–1 marca 1947, s. 24) skeczowi, który opublikowała Stefania Grodzieńska, rówieśnica Ipohorskiej, jako tragedię z cyklu „Któż tego nie zna”. Rzecz rozgrywa się na widowni teatru podczas uwertury, jednemu z widzów wyraźnie przeszkadza wysoki kapelusz siedzącej przed nim pani. Eleganckiemu mimo wszystko dialogowi obu osób zaczyna kibicować powoli cała widownia, która w końcu grozi mężczyźnie zwracającemu uwagę pani w kapeluszu – wyrzuceniem z sali. Za biedakiem ujmuje się w końcu sama właścicielka kapelusza, prosząc widzów o łaskawe pozwolenie mu pozostania na sali, za co ten... dziękuje jej grzecznie a potulnie.

Mamy tu wszystkie elementy, do jakich odwoła się Kamyczek w swoim odcinku DSV – wysoki kapelusz, przeszkadzający sobie widzowie spektaklu, a także – ośmieszenie przesadnie celebrowanej grzeczności. To, co u Grodzieńskiej jest arcykomiczne (nawet arcytragikomiczne), w DSV ociera się o satyrę, w „Grzeczności na co dzień” staje się opisem zachowań w sytuacji serio. Kamyczek-Ipohorska wychodzi w swoim cyklu od parodii języka dziewiętnastowiecznych poradników dobrego zachowania – sytuacje współczesne, z lat tuż po drugiej wojnie światowej, zestawia z językiem opisującym świat sprzed niemal stu lat. Ta nieprzystawalność języka i opisywanej nim rzeczywistości ośmiesza jednocześnie tę nową sytuację, a inkrustowanie opisów zaczątkami „nowomowy” – także i język nowej rzeczywistości. Nie odbudowuje to jednak zaufania ani do języka dziewiętnastowiecznego (pamiętajmy, że Kamyczek nie odwołuje się do czasów międzywojennych wprost!), podważa zaufanie do języka powojennego na tyle, na ile można to było zrobić, nie naruszając zasady upragnionego – przez władzę i społeczeństwo – spokoju i równowagi (może nawet za wszelką cenę). Język ostrej satyry mógł być kojarzony z językiem opozycji skierowanej przeciwko władzy. Wydaje się, iż na stosowanie takiego języka obie strony dawały przyzwolenie w czasach, kiedy mogło to pełnić funkcję „wentyla” bezpieczeństwa, czyli w bezpośrednim sąsiedztwie jakiejś wyraźnej cezury społeczno-politycznej, tuż przed zmianami lub w oczekiwaniu na nie. Po zmianach sens odwoływania się do takiego języka był niejasny – wszyscy wszystko mogli przecież powiedzieć wprost. Przy istniejącym jednak zapotrzebowaniu na „zdrową i konstruktywną satyrę” trzeba się było odwoływać do konwencji „Podwieczorków przy mikrofonie” czy skeczy Marcina Dańca. Na wszelki wypadek. Satyrycy czy felietoniści,

k którzy pragną jednak kontynuować swoją misję i stylistykę sprzed przełomu, zostają przeważnie „wyciszeni”. Nowy język (a więc nowy obyczaj mówienia o obyczaju chociażby) nakazuje – jak przytoczony uprzednio fragment przedwyborczej wypowiedzi Czesława Komarnickiego – zachowanie spokoju: „Nie ma i nie było bowiem nigdy i nigdzie dobrobytu bez podkładu spokoju”.

Wróćmy jednak do uwag na temat języka sparodiowanego. Czy można – podobnie jak zrobiła to Ipohorska-Kamyczek w odniesieniu do języka dziewiętnastowiecznych poradników – w podobny sposób ośmieszyć język jej poradników książkowych? Prawdopodobnie tak. Wielokrotnie powracająca w naszych mediach moda „retro” w dziedzinie rozrywki tworzyła sytuacje, w których można było pośmiać się w sposób bezpieczny i dla autora, i dla aktorów, i dla odbiorców, i dla dystrybutorów takiej formy „rozweselania”. Preferowano jakoby w ten sposób w satyrze jej celną „ponadczasowość”, bo natura ludzka jest przecież niezmienna, wyśmiewając jednocześnie anachronizm obyczaju, który swój bibelotowy charakter przeciwstawiał czemuś nienazwanemu czy nienazywalnemu.

Ciekawie w kontekście takim brzmi uwaga Czekalskiego, iż „W badaniach nad współczesną obyczajowością historyków niejednokrotnie zastępują socjologów, a także autorzy reportaży i felietonów”²². Nie jest to zjawisko nowe – trudno jednak wyobrazić sobie, iż socjologów czy felietoniści zgodzą się przyjąć na wspólnego patrona Jędrzeja Kitowicza. Socjologów i felietoniści o tych samych sprawach mówią przecież różnymi językami. Być może przejawiająca poetykę felietonu satyra diagnozuje rzeczywistość z większą precyzją niż zestawienia statystyczne. Trzeba pamiętać, iż – zarówno w odbiorze, jak i w pisaniu – satyra polityczna jest „łatwiejsza” od satyry tzw. obyczajowej. Od obu wymaga się (choć w różnym stopniu) precyzyjnej aktualności i doraźności, wszelka ponadczasowość, uniwersalność jest natomiast zjawiskiem z jednej strony – mile widzianym (zwłaszcza po latach, jakie minęły od powstania tekstu), z drugiej – podejrzanym. Satyryk nie powinien być jednak profetą, tę rolę zastrzeżono dla twórców „śmiertelnie poważnych” tekstów literatury wysokiej.

Wymiary tworzącego się tuż po wojnie „cyrku na gruzach” – to tytuł, jakim opatrzone w numerze 91. „Przekroju” (z 5–11 stycznia 1947 r., s. 9) zdjęcie linoskokczków, przechadzających się po linie nad ruinami niemieckiego miasta – mogłyby wyznaczać także teksty i rysunki związanych z „Przekrojem” osób. W zamieszczonych w numerze 102. (z 23–29 marca 1947 r., s. 21) „Listach z fiołkiem” Gałczyńskiego, w zawartych tam uwagach o *estetyce i życiu praktycznym* czytamy m.in.: „Chore kanarki najlepiej leczy się czarną mocną kawą po łyżeczkę do dzióbka co kwadrans. Przy chorobach zakaźnych należy przede wszystkim kanarka ogolić. W wypadkach stwierdzonej symulacji bicie kanarków za pomocą specjalnej pałeczki daje znakomite rezultaty”. W numerze 105. (z 13–19 kwietnia, s. 24) na rysunku Kamyczka spotykają się dwaj panowie – jeden z nich trzyma na

²² T. Czekalski, *op. cit.*, s. 339.

smyczy psa, nad drugim unoszą się uwiązane na linkach cztery kanarki (gremialnie załatwiające tzw. potrzebę). Podpis pod rysunkiem: *Panie Karafka, co pan robi? – Wyprowadzam na spacer moje kanarki!*

Od tych dwóch „upubliczeń tematu kanarków” możemy poprowadzić raczej prostą linię w kierunku nie tylko Ważykowych rozważań o poezji Gałczyńskiego. Słynna riposta Gałczyńskiego, wskazująca mało budujący widok klatki po ukręceniu głowy kanarkowi, może być w tym miejscu spointowana bodaj tylko raz opublikowanym wierszem poety. Wierszem, w którym k l a t k a ma jeszcze pozór a l t a n y, a adresatką wystylizowanego wiersza jest Ipohorska-Kamyczek.

W IMIONNIKU JANA KAMYCZKA

(pisane w altanie w dzień odjazdu do Kolbuszowej)

Janie, jeśli języki potwarcze
Będą nas chciały rzucić w różne strony,
Wiedz, że się znowu skryjesz za mą tarczę,
Oraz za miecz mój wawrzynem zielony.

Duch twój na skrzydłach znów przybędzie do mnie
W to wielkie święto naszych czystych sumień
I znów popłyną szczęśliwe ogromnie
Łzy nasze jak kręty strumień.

A absolutnie nam niczego dowieść
Nie będzie mogła żadna jędza zła.
I znowu razem przeczytamy powieść
„Jajko i ja”.

(„Przekrój” nr 125 z 31 sierpnia–6 września 1947 r., s. 6)

Bez względu na to, czy mieliśmy do czynienia z klatką, altaną czy barakiem – dobre obyczaje obowiązywały. Również bez względu na obecność czy nieobecność samego kanarka. I bez względu na stan jego ewentualnego samopoczucia.